



Czarownica

i inne niesamowite opowieści

Armoryka-Audiobook

Czarownica

CZAROWNICA

opowieści niesamowite

**Wiktor Gomulicki
Andrzej Sarwa**

**Armoryka
SANDOMIERZ 2008**

Redaktor: Władysław Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2008 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-60276-52-5

Andrzej Sarwa

**PORWANIE MISTRZA
TWARDOWSKIEGO**

Dzień był skwarny, sierpniowy. Głębokiego błękitu nieba nie plamiła ani jedna chmurka, tylko ogromne, do białości rozpalone słońce majestatycznie przesuwało się przez firmament.

Po obu stronach okrytego grubą warstwą kurzu gościńca stały nieruchomo szerokie łąny białoziarnej, acz czerwonokłosej pszenicy sandomierki.

Od Krakowa ku Sandomierzowi gościńcem owym sunęła niezgrabna, lecz wygodna bryka. Woźnica przycupnięty na koźle co i raz cmokał i szarpał za lejce, usiłując – bez powodzenia jednak – pobudzić parę koni do szybszego biegu. Na nic się to przecie nie zdawało, bo zwierzęta zmęczone były i głodne.

Z tyłu, za furmanem, wygodnie rozparty, to podrzemując, to znów na zmianę sycąc oczy cudnymi widokami, siedział nie byle kto, tylko sam sławny krakowski doktor i czarownik – mistrz Twardowski.

Podskakiwanie okutych żelaznymi obręczami kół na wybojach miast go zmęczyć, wprawilo w jakowyś stan przedziwny, stan w którym z bólem sięgnawszy do przeszłości, przywoływał pod przymknięte powieki echa dawnych zdarzeń.

I oto Twardowski lustrował całe swoje życie.

Rodzinnego dworku, gdzie przyszedł na świat wcale już nie pamiętał. Wiedział, że był gdzieś w pobliżu Krakowa, a kojarzył mu się tylko z jednym – z otwartą trumną w okrag której, w drewnianych masywnych lichtarzach, tkwiły żółte woskowe świece, a u ich szczytów migotały, niczym cętki światła na rozedrganej rzecznej toni, żółtawe płomyki.

W trumnie leżał mężczyzna, odziany w wyszarzały kontusz, z sumiastym wąsem opuszczającym się ku podbródkowi i złożonymi na krzyż dłońmi, które opleciono różańcem.

To był ojciec.

I tylko tak go zapamiętał. Tylko tak...

A potem? Potem był Kraków, dokąd się przenieśli pod dach dalekich krewnych, bowiem rodzinny dom zabrano im za długi.

Pamiętał jak matka oddawała mu swój chleb i swoją polewkę, byle tylko nie był głodny, byle tylko był silny. Wtedy nie rozumiał jak wielkimi były te ofiary... Dziś już to wiedział...

Matka... Gdy miał jedenaście, czy dwanaście lat, odeszła na zawsze. Umarła na Gromniczną, kiedy najsroższy mróz skuł ziemię, tak ich grabarz z trudem rwał jej żółtawe kęsy, kopiać jamę, w którą opuszczono skrzynię zbitą z nieheblowanych desek, bo na prawdziwą trumnę dla nieboszczki krewniacy poskąpili. Zresztą... Czyż należy się im dziwić?...

Gdy zmarł ojciec, nie płakał, bo jeszcze nie rozumiał czym jest śmierć, lecz kiedy Kostucha zastukała do ich ubożuchnej

izdebki, kiwając zakrzywionym palcem na tę, którą ukochał całym sercem, wylał wiele, wiele łez...

I od owej pory dnia płynęły mu już podobne do siebie, niczym wytarte ziarna starego różańca, przesuwane w sękaty, spracowanych palcach.

Głód i poniewierka. On, szlachecki syn, musiał innym być sługą, byle tylko napęłnić brzuch. Kpiono z jego ubóstwa, z ubrań przerabianych z ojcowych, ze zbyt wielkich, dobrze już poprzecieranych safianowych butów i zapadniętego z niedostatku brzucha.

Cierpiał, ale pokładał ufność w Bogu i w Jego Najświętszej Matce. Nie jeden raz noce całe spędzał na klęczkach, wyciągając ręce w stronę krucyfiksu i ze łzami w oczach błagając Pana o miłosierdzie, to znów śpiewając kantyczki ku czci Maryi Panny, które sam nad podziw zgrabnie układał.

Przecież mijały tygodnie, przechodziły miesiące, upływały lata, a nic się nie zmieniało – był jednak biedny i jednak głodny. Stwórca nie wysłuchiwał jego próśb. Dlaczego?!

Aż nadeszła chwila, gdy przemógł się i swoją naiwną wiarę w Boskie Miłosierdzie precz odrzucił. Uniósł ku górze zaciśnięte pięści bluźniąc i przeklinając, jednocześnie przysięgając i sobie i Niebu, iż uczyni wszystko, byle tylko precz odegnąć nędzę, byle tylko stać się bogatym i sławnym.

A wówczas zjawił się on – Smutny Człowiek o czerwono jarzących się oczach i przyobiecał, że o ile młodzieniec da szlacheckie słowo, iż w przyszłości odda mu ciało i duszę za doczesne dostatki, sprawi że odtąd nigdy już nie zazna biedy, szyderstwa i kpiny.

Dał słowo, zastrzegając iż moc czartowska władzę nad nim rozciągnie nie gdzie indziej, a w samym Rzymie tylko. Dał słowo i obietnica Smutnego Człowieka stała się rzeczywistością.

Ponieważ miał wielki pociąg do wiedzy, wstąpił na Akademię Jagiellońską, gdzie oddał się studiom

matematycznym, astronomii z astrologią oraz medycynie, zagłębiając się też w alchemię i magię.

Kiedy już uzyskał stopień doktora, stał się tak sławny, iż sam król, sam Zygmunt August, wziął go na swego nadwornego lekarza.

Sen Twardowskiego i obietnica dana przez Smutnego Człowieka, ziściły się. Był sławny i był bogaty.

O tym wszystkim rozmyślał Twardowski, z turkotem okutych żelaznymi obręczami kół zbliżając się do Sandomierza, dokąd udawał się dla zażycia odpoczynku pośród gęstwiny sadów, kędy niczym w sercu puszczy rozpołożyło się miasto cudne mieszczkańskimi kamienicami, strzeliste wieżycami kościołów, zasobne spichlerzami i bezpieczne królewskim kasztelem.

Miał też sławny krakowianin nadzieję kupić pewne ziółko, najsrozsze niemoce leczące, które rósł mogło tylko w ogrodzie świętego sandomierskiego doktora, sławą nawet samego Twardowski przechodzącego, uczonego Stanisława Bartolona.

Wiedział bowiem czarownik, iż zdobywszy owo ziele, nie jeden jeszcze rok mile spędzić może, ciesząc się młodością i wigorem.

Nie w smak to przecie było czartu, który rad by czarnoksiężnika jak najrychlej posiąść...

Ledwo Twardowski minął był Bramę Krakowską, oto od strony rynku, na spienionym kruczoczarnym rumaku, przycwałował pazik pewien:

- Mistrzu Twardowski, ratuj!
- A cóż to się stało?

– Oto pan nasz, król August, spadłszy z konia, bez czucia leży w karczmie w podłe miasta.

– Gdzież to? Daleko?
– Ot, zupełnie blisko. Na przedmieściu...
– Jedźże przodem, a żywo, chłopcze, a ja podążę za tobą! –
przerwał mu Twardowski.

Bryka Twardowskiego z turkotem kół przetoczyła się przez brukowane dębowymi dylami i kocimi łbami uliczki Sandomierza, a wyjechawszy poza mury miejskie, skierowała się tam, gdzie rzekomo czekano pomocy doktora.

Twardowski przekroczył próg karczmy. Choć na dworze żar lał się z nieba, w ciemnej, okopconej izbie, przesiąkniętej zapachem piwa i cebuli, chłodno było i przyjemnie.

Pazik, który szedł pierwszy, gdzieś się zapodział.

Skoro oczy czarnoksiężnika oswoiły się z półmrokiem, zobaczył, że oprócz szynkarza i jednego, z niemiec-ka odzianego człeka, który tyłem siedział do drzwi wejściowych w samym rogu izby, nie ma tu nikogo.

– Gdzie król? – zapytał doktor, już podejrzewając, iż zakpiono z niego.

– Aj waj! Jaki król?! Co za król?! Skąd u mnie król?! Co też wasza miłość powiada?! Toż to nawet łyków dzisiaj nie ma, a co dopiero mówić o szlachetnie urodzonych, a co dopiero mówić o królu?!

Zaklął Twardowski szpetnie, zbierając się do odejścia, gdy naraz posłyszał z kąta głos nieznanego:

– Skoro waszmość już wszedłeś do karczmy, to przynajmniej napij się ze mną. Skwar na dworze, widać żeś zdrożony, oczyść i gardło z kurzu.

A zaraz potem dodał:

– Ej, Żydzie! A podaj panu miodu! Ja płacę!

– Widzę, żeś waszmość grzeczny i kompanię lubisz. Jestem mistrz Twardowski, a wasze?

Nieznanomy powoli odwrócił się do mówiącego. Z poczwornej zwierzokształtnej twarzy, obciągniętej sinozieloną skórą, gdzie-

niegdzie porośniętej siwą szczecią, wyzierały oczy płonące szkarłatem, niczym dwa węgle żarzące się na skrajcu ogniska.

– A jam twój druh... Z przed lat... Pamiętasz...

Oblicze demona wyrażało bezbrzeżną wzgardę i nienawiść. Wycelowwał zakrzywionym, haczykowatym palcem prosto w pierś Twardowskiego i ciągnął dalej:

– Napij się miodu. Napij. To już ostatni twój kusztyczek. Długom czekał, by się nareszcie doczekać. Od tej chwili jesteś mój, Twardowski! Na wieczność!

Czarownik poczuł jak nogi się pod nim uginają. Nie wiedzieć czemu opuściła go wola walki. Pojął, że ze złym duchem nie wygra.

Nie rozumiał tylko dlaczego ów szpetny stwór pokazał mu się akurat teraz, skoro zgodnie z umową winno to nastąpić dopiero w Rzymie, gdzie miał prawo z ciałem i duszą porwać go do piekła. W Rzymie – lecz nie w Sandomierzu!

Demon zaśmiał się chrapliwie:

– Czytałem w twoich myślach Twardowski! Czytałem! Nie pocieszaj się, zem jeszcze do ciebie nie nabrał praw. O, nabrałem ich, i to w dwójnasób. Czyż Sandomierza nie nazywają aby „polskim Rzymem”? A czyż ta karczma nie „Rzym” się nazywa?

Nad horyzontem przetoczył się grzmot. Niebo jęły zasnuwać czarne welony chmur, co i raz rozdzieranych zygzakami sinych błyskawic.

– Napij się miodu, Twardowski, a nie żałuj sobie...

Demon wyciągnął szponiaste palce, chwytając nimi doktora za gardło.

Powoli podniósł się zza stołu, pociągając za sobą Twardowskiego. Ten sparaliżowany strachem nie stawiał najmniejszego nawet oporu i posłusznie szedł, prowadzony przez złego ducha.

Karczmarz na ów widok aż przykucnął za szynkwasem, czując jak włosy, z przerażenia, podnoszą mu się na głowie, po plecach zaś spływa stróżka zimnego potu.

Tymczasem diabeł wraz z czarownikiem opuścili karczmę. Zaraz za progiem wichura porwawszy kłęb kurzu, zawirowała nim raz i drugi, a później uniósłszy w górę, cisnęła pyłem w twarz Twardowskiego.

Sinoniebieska błyskawica zygzakiem przeleciała przez firmament, na moment rozdzierając czarne chmury kłębiące się tuż nad ziemią.

Nie wiedzieć kiedy demonowi wyrosły u ramion wielkie, błoniaste, uderzająco podobne do nietoperzowych, skrzydła. Schwycił mocno Twardowskiego w pól i powoli jął wznosić się w powietrze.

Pioruny były, jeden za drugim, przelatując tuż obok nich. Któryś nieomal otarł się o twarz czarownika, nieco tylko osmalając mu wąsy.

Twardowski, choć przerażenie dławilo go za gardło, spojrział w dół. Sady i ogrody i łąny pszenicy sandomierski, falujące w gwałtownym wietrze. A pośród nich Sandomierz, zdobny niczym drogocennymi klejnotami, szlachetnymi i pięknymi w kształcie bryłami kościołów, ratusza, miejskich bram, królewskiego zamku.

Po chwili wszystko owo znikło, a unoszące się w przestworzach postaci, zewsząd otoczyła gęsta, lepka, bura mgła.

Kiedy i z niej się wydobyli, a ziemię pod stopami ujrzeni tak małą, niczym dorodny owoc dyni, nad ich głowami rozpostarło się czarne, nabijane milionami pożłocistych ćwieków – gwiazd, niebo.

I wówczas – choć trudno w owo uwierzyć – przerażenie Twardowskiego j e s z c z e b a r d z i e j urosło. Zdał bowiem sobie sprawę z faktu, iż oto, na zawsze, opuszcza ziemski padół, kierując się ku jakowymś nieznanym, złym, a nieprzyjaznym światom, stanowiącym pomieszkanie Szatana i demonów.

Jął zatem czynić nadludzkie nieomal wysiłki, iżby wyswobodzić się z krzepko trzymających go szponiastych łap. Nadaremnie.

Właśnie przelatywali tuż nad powierzchnią Księżyca, gdy myśli Twardowskiego – zgoła niespodzianie, bo przecież od wielu, wielu lat nie płynęły już były owym łożyskiem – skierowały się ku Tej, którą ongi tak czcił, a która silniejsza jest od Szatana i wszystkich na raz jego upadłych aniołów. Ku Tej, która nigdy nie zawodzi i nie opuszcza człowieka, który się Jej odda w opiekę – ku Bożej Matce.

Wpół świadomie, a wpół nieświadomie, zrazu jął mówić, a potem jego mowa przerodziła się w śpiew. W błaganie, ale i w uwielbienie. W prośbę, lecz i wysławianie.

Ponad zrytą kraterami, pokąsaną przez rozbryzgi meteorytów powierzchnią Księżyca popłynął szeroką strugą donośny głos Twardowskiego:

*Zacznijcie wargi nasze, chwalić Pannę Świętą
Zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą.
Przybądź nam, miłościwa Pani, ku pomocy,
A wyrwij nas z potężnych nieprzyjaciół mocy...
Zawitaj, Pani świata, niebieska Królowa,
Witaj Panno nad panny, gwiazdo porankowa.
Zawitaj, pełna łaski, prześliczna światłości,
Pani, na pomoc świata śpiesz się, zbaw nas z złości...*

I oto naraz – demon osłabł. Wytracił pęd. Już nie mógł unieść Twardowskiego. Skurczył się w sobie i z potwornym skrzekiem rozwarł ramiona, które dotychczas szczelnie opasywały ciało czarownika. A potem – odleciał w niezmierną czern kosmicznej pustki.

Twardowski tymczasem jął opadać powoli, bardzo powoli, niczym liść w spokojnym, znieruchomiałym powietrzu, ku dołowi, aż wreszcie dotknął powierzchni Srebrnego Globu. I tam to właśnie od wieków, aż po dzień dzisiejszy przebywa,

czekając darowania wszystkich przewin i wszelkiego zła, jakich się świadomie i dobrowolnie podczas ziemskiego żywota dopuścił.

(Wątek niniejszej opowieści zaczerpnąłem z sandomierskich opowieści ludowych oraz z dzieła Romana Koseły, pt. *Sandomierka. Legendy ziemi sandomierskiej*, Poznań, brak roku wydania, s. 175 – 219)

Wiktor Gomulicki

CZAROWNICA

Obrazek starowarszawski

I

Borem zielonym, gościńcem piaszczystym rycerze dwaj posuwali się szłapią.

Niebo stało w ogniu, bowiem dzień lipcowy, płomienisty, żarny, ku końcowi się miał. Po obłokach z onyksu, jaspisu, porfiru przewalały się złota i purpury potoki.

– Po królewsku coś słońko zachodzi... – mówił jeździec młodszy mrużąc oczy modre, dwa prawe turkusy.

Starszy dodał:

– Wróżba to może dla księstwa, że się wrychle w królestwo przedzierzgnie...

– Jakżeby? – zdziwił się tamten.

– Dyc gadają, że król Zygmunt Mazowsze połknąć rad. Pono go miła żonka k'temu ciągnie.

– Włoszka... Wawrzynów jej trza i cyprysów. Cóż onej po piachach mazowieckich?

– W sam raz na „oprawę” do królewskiego klejnotu!...

Gwarząc jechali wprost na jasność ślepiącą – radzi każdej gałązce, co ją chociaż krzywnę przyćmiewała.

Młodszy całe był młodzusiętki. Spod lekkiego hełmu wymykały mu się długie, bursztynowej barwy kędziory. Jego usta świeżości i czerwieni od malin pożyczły, w jego twarzy było coś z dziecka, dziewczyny i cheruba. Agatowe ziarna, którymi omotał dłoń lewą, czymże być mogły, jeśli nie różańcem?

Gęstą, czarną, srebrem przetykaną brodę miał jeździec starszy. Bezdenne były jego oczy, nos duży, zakrzywiony – nos jastrzębia lub orła. Ale z przywiedłego, zarosłego oblicza dobrym światłem zacność biła.

Dzwonił ten drugi blachami stalowymi; o dużości jego świadczyło ciężkie spotniałego wierzchowca pryhanie.

Ten mógł być tamtemu rodzicem, wszakże jeno towarzysza w nim miał. W kupie jechali, ku jednemu celowi, w jednym poselstwie – do Warszawy, do księżnej Anny, po Konradzie wdowy, pary tęgich książątek: Stacha i Januszka, rodzicielki.

Poróżniła się była księżna Anna z poddanych swych częścią. Sadła gorącego za białą skórę jej zaleli ziemi makowskiej szlachta. Nie mogło to tak ostać – wzdyc to dobrego pana zaszczyt i miłowanie, a cnych paniąt, jutro już może Mazowska władców, opiekunka.

Jechał więc Bolko młodziński i żrzały Ścibor, aby białogłowę, sprawiedliwie Makowianom krzywą, przebłagać. Starszy mocny był męstwem, doświadczeniem i wojenną zasługą; młodszego moc leżała w serca czystości i anielstwie.

Jednego męstwo, drugiego świętość na współziomków czoło wyniosły. Jednak w tej okazji Makowianie najwyżej postawili inną, aby im wspólną cnotę...

Bolko i Ścibor z tej racji w posły jadą, że są obaj – białogłowskiego rodu wrogli!

Makowianie ze swą księżną zgody chcą – nie chcą niewoli. Porywczoscią zgrzeszyli, bo to u Mazura zwyczajne. Podbechtano ich, żółć w nich wzburzone – przywiedziono aż ku temu, że za oręż przeciw swej pani chwycili. Ochłonawszy, sami się swej zapalczywości wstydują. Ale Mazur, choć ślepy się rodzi, później za to każdą sprawę wzrokiem bystrym, jak świdrem, przedryluje. Księżna, choć niby to słaba niewiastka, rozumek ma dobry, a chytryść i przebiegłość prawie litewską (jako że Radziwiłłówna). Z nią kutym być trzeba na cztery nogi, żeby dudkiem nie zostać.

Urodziwa jest księżna Anna, uroda zasie niewiast jest jako lep mocny, na który szpaki się łowią. A iluż to, miły Boże, szpaków wśród rodu męskiego! Więc mądra była Makowian myśl wyprawić do księżnej takich, których serca mocnymi paizami od grotów zalotności zabezpieczone.

I zaprawdę, nie kruchej strzałki Kupida, jeno oszczepu trzeba by stalistego, żeby zranić granitową pierś brodacza Ścibora. Nie ma zaś zaprawdę takich oczu cała ziemia warszawska, płocka i czerska, żeby spotkawszy się z wejrzeniem Bolkowym nie odskoczyły kornie jak piłka od muru.

Bowiem Ścibor, kilkakroć żeniony i kilkakroć zdradzany, białogłowy w nienawiści ma. A Bolkowe myśli daleko od ziemskich miłości wybiegły: pątnikiem młodzieńczyk chce zostać, w drogę do grobu Chrystusowego się gotowi. Cela wybielona, twardy klęcznik, krzyż i włosiennica to jedyne marzeń jego symbole. Niech przeto księżna siły swych pięknych oczu na innych próbuje: z takimi junakami sromotnie z placu ustąpić by musiała.

II

Z boru zielonego, z boru cienistego wyjechali rycerze.

Już im teraz wachlarze z gałęzi zbędne. Już i powiek mrużyć nie zniewoleni. Bezrzęse oko słońca, choć się jeszcze

na sen nie zamknęło, słabiej już świeci, źrenicy patrzącego nie rani.

Niebo płonie, lecz są to już blaski dogasającego pożaru. Już je jakby leciuchny muślin mgły czy dymu przesłonił. Już królewski majestat zachodu bez oślepienia oglądany być może.

Ku rzece wielkiej dążą rycerze i ku miastu pięknemu, które się na wzgórzu wyniosłym, jak monarcha na stolicy swej, rozsiało. Już się ta rzeka pluskiem fal ogromnych zapowiada, już na pierwsze spotkanie wysłała chłodne, rzeźwiące powiewy, które są niby rąk dotknięcia miłych, pod brodę głaszczących. Maluczko, a i gród książęcy, w rzece się przezierający, moc swą i piękność widomie roztoczy.

Czas już miały oczy rycerzy do cudnego widoku przywyknąć – toć do grodu książęcego każdemu Mazurowi często droga wypada. Jednak ta, wszystkim grodom Mazowsza przodująca Warszawa, jawi się im dziś w takim blasku, że pokłon oddać jej muszą.

Na drożynie wąskiej, w niezbrodzonym morzu łożyny, w pobliżu rzeki niespokojnie rzucającej się w łożysku rumaki wstrzymali, głowy podnieśli – w milczeniu pełnym patrzą a patrzą.

Na zakurzonej purpurze nieba ostra sylweta miasta jest jakby z ciemnego brązu odlana, w jasną miedź i złoto wtopiona.

W stłoczonej masie murów zamek książęcy i fara z wyniosłą wieżą pierwsze zajęły miejsce. Zębaty, krwistoczerwony, przerażająco wysoki mur opierścienia miasto, szyję mu jakby kołnierzem włoskim ściskając. Nad murem i nad gmachami gąszcz proporczyków blaszanych kupi się i w powietrzu igra niby kawek rozbawionych stado. Największy nad Zamkiem wziął straż i zda się widziadłem upiorowym, razem podziw, cześć i strach niecącym. Smok na nim z nietoperzymi skrzydłami, na łapach szponiastych, w powietrzu ognistym pływa, z płomieni zda się wynurzać.